

Nie zabierałem głosu podczas 25 rocznicy powstania "Solidarności", bo okrągłe rocznice sadzają za prezydium mity, a prawdę w dalszych rządach. Oto co miałem na temat tamtego czasu do powiedzenia w 23 rocznice powstania "Solidarności".

Panna "S" na falach przemian.

Rozmowa z Waldemarem Kuczyńskim

Rafał Kalukin: Rozmawiamy w przededniu kolejnej, 23. rocznicy podpisania Porozumień Gdańskich. Czy zgodzi się Pan, że Polski Sierpień to narodowa świętość, którą najchętniej zamknęlibyśmy w muzeum, bo wartości, które robotnicy wpisali w 1980 r. na swe sztandary jakoś dziwnie nie przystają do dzisiejszych czasów? Że stały się odległe i wręcz anachroniczne?

Waldemar Kuczyński: Nie zgodzę się. To był zryw wolnościowy i niepodległościowy. I jesteśmy wolni i niepodlegli. Ale zgoda; niektóre idee Sierpnia należały tylko do tamtego czasu. Cieniem na Sierpień rzuciło się brzydactwo rozpadu ruchu, który po roku 1989 musiał nastąpić. Oznaki było widać już pod koniec roku 1981, na przykład na I Zjeździe. Opór przed podziękowaniem KOR-owi, rosnący nurt „prawdziwych Polaków”, oskarżenia o manipulacje, nieufność, rywalizująca z solidarnością - to już narastało. Pamięć Sierpnia ucierpiała też przez dolegliwości transformacji, bezrobocie, głównie robotników wielkich zakładów.

A co, Pana zdaniem, stałoby się z „Solidarnością”, gdyby nie było stanu wojennego?

Nie można było pogodzić ówczesnego systemu i potężnej, niezależnej organizacji związkowej. Nie wierzyłem w to, gdy w lipcu 1980 r. zaczęły się strajki, ani gdy w sierpniu jechałem jako ekspert do Stoczni Gdańskiej, ani gdy podpisano Porozumienie. Miałem wtedy poczucie, że wypadliśmy z wieżowca, czujemy błogość nieważkości, lecz zaraz uderzymy o twardy bruk. Paradoksalnie zacząłem wierzyć, że to się nie stanie, jesienią 1981 r. Bo skoro tyle czasu trwa, to może i przetrwa. No i wtedy przyszedł 13 grudnia...

„Solidarność” nie dałaby się też wcisnąć w system. Więc musiałyby ulec pod ciosami interwencji rosyjskiej. Bardzo się jej bałem. Wielu się bało, ale należałem do niezbyt licznych, którzy mówili to głośno. Istniała „solidarnościowa” poprawność polityczna, która premiowała buńczuczność. Wyrażało ją dobrze powiedzenie śląskiego działacza „Solidarności”, Andrzeja Rozpłochowskiego; „jak górnicy uderzą pięścią w stół, to kremlowskie kuranty zagrają Mazurka Dąbrowskiego”.

Nie wyobrażam sobie, by Związek Sowiecki Breżniewa pozwolił na upadek komunizmu w Polsce. Historycy nie znajdą dowodów „czarno na białym” na potwierdzenie tej tezy, bo dywagacji o interwencji wojskowej nie protokołuje się, dowodami na piśmie są rozkazy do ataku.

Ja się nawet założyłem z Adamem Michnikiem, że Rosjanie w ciągu roku będą interweniować. Przegrałem zakład. Ale czy Michnik go wygrał?

Nośne były wtedy koncepcje „finlandyzacji” Polski - reform ustrojowych i gospodarczych przy jednoczesnym podporządkowaniu politycznym i militarnym blokowi sowieckiemu.

Nie wydaje mi się, żeby rosyjska elita władzy zgodziła się na takie rozwiązanie w Polsce. Oni nie wierzyli w jego skuteczność. Byli zapewne przekonani, że jeśli Polakom da się długie cugle, to tym bardziej spróbują zerwać je zupełnie, jak w 1830 roku. I prawdopodobnie mieli rację. Ponadto Polska nie była, jak Finlandia, peryferyjnym, lecz centralnym krajem układu jałtańskiego.

Mam wrażenie, że w tamtym czasie bardziej liczyła się dla Was dynamika ruchu społecznego, niż konkretne treści i cele, które on formułował i sobie stawiał. Te cele były reakcją na rzeczywistość - bądź to gospodarczą, bądź geopolityczną. Tak można postrzegać i treść umów sierpniowych, i późniejsze dokumenty związkowe. Być może stąd wynika dzisiejszy problem z adaptacją sierpniowej tradycji do realiów Polski na początku XXI wieku.

Dynamika ruchu nie tyle narzucała, co weryfikowała cele. Nikt, kto w nim był, nie mógł jej lekceważyć. To była klasyczna rewolucja w strojach właściwych dla swego czasu, lawina, w której ma się ograniczone ruchy. Z początku szło o cofnięcie niskiej, nic nie znaczącej podwyżki cen mięsa. Potem zaczęto się mówić o podwyżkach płac. Potem - o reformie związków

zawodowych. Potem, gdy włączyła się Stocznia Gdańska - o wolnych związkach zawodowych. Gdy władze się na nie zgodziły - pękła bariera lęku, nastąpiło lawinowe ich tworzenie. Władze, bardziej terenowe niż centralne, próbowały to hamować. Te próby wywołały kontrreakcję i w efekcie powstała jedna monstrualna organizacja. Wcześniej były koncepcje federacyjne, ale przegrały. Mówiono, nie bez racji „idźmy razem, bo nas w pojedynkę rozjadą”. I tak stanęły naprzeciw siebie dwie potężne siły.

Bardzo istotnym bodźcem, który „kierował” ruchem, było załamanie się rynku i dramat zaopatrzeniowy. To mechanizm uniwersalny. Gdyby pan prześledził Rewolucję Francuską, zauważyłby pan, że gilotyna zaczęła pracować pod wpływem pustych półek w piekarniach i u rzeźników. W Polsce też odegrały one wielką rolę, do tej pory nie opisaną. Kryzys gospodarczy był jednym ze źródeł „Solidarności”. Jej powstanie, na krótką, a więc najważniejszą w toku rewolucji metę, kryzys pogłębiło; przez zablokowanie możliwości podnoszenia cen, przez „wałęsówki” i inne podwyżki płac i świadczeń, czyli przez wyptyw dodatkowych pieniędzy na rynek. Wreszcie przez wynegocjowanie w porozumieniu z Jastrzębia wszystkich wolnych sobót w górnictwie. Załamało to eksport węgla i - w efekcie - import zaopatrzeniowy. Te trzy dodatkowe przyczyny zaostrzyły kryzys gospodarki i wywołały dewastację rynku.

Gigantyczne, szybko narastające i powszechne kolejki przed sklepami, które wyrastały jesienią 1980 roku, były przerażającym zaskoczeniem nawet dla tamtego pokolenia, przywykłego do kolejek.

Parę lat temu Leszek Miller oświadczył, że puste półki były dziełem „Solidarności”. Spadły na niego za tę wypowiedź gromy.

Słusznie, jeśli tak to ujął. Puste półki były istotą PRL, tym bardziej widoczną, im mniej ludzie dawali się trzymać pod butem PZPR. Za Gomułki były pełniejsze, bo but był cięższy, a pod koniec Gierka bardziej puste, bo but zelżał a kredyty się skończyły. Głównym źródłem kryzysu była polityka Gierka. Władze „Solidarności” świadomie kryzysu nie pogłębiały, przeciwnie, starały się go hamować, ale 10-milionowy ruch to żywioł. Miliony ludzi w tym ruchu widziało, że po raz pierwszy od dziesiątków lat mogą czegoś od władz żądać. I robili to, a jako uboczny efekt zaostrzał się kryzys. To był dramat, starcie racji ludzkich z prawami ekonomicznymi - zawsze wtedy wygrywa ekonomia.

Jak Pan, chłodno myślący ekonomista i zarazem emocjonalnie zaangażowany uczestnik ruchu, patrzył na te zjawiska? Nie miał Pan schizofrenii?

Miałem i to coraz większą. Ale na początku przeważały racje rodzącego się ruchu. W lipcu 1980 r, gdy ursuski WZZ zwrócił się do mnie z prośbą o zaopiniowanie ich postulatu „dodatku drożyznianego”, wydałem opinię pozytywną. Nie wątpię, że postąpiłem właściwie. Potem patrzyłem na kolejne żądania z przerażeniem. Próbowałem w „Tygodniku Solidarność” uświadamiać czytelnikom, że każda rewindykacja płacowa jest dramatem.

I jak to przyjmowano?

Bez zrozumienia. W ekonomii są zjawiska, których opinii publicznej nie da się wytłumaczyć i konieczne działania, do których nie można jej przekonać.

I dziś to widać...

Od czternastu lat. Bo istnieje coś jak ludowa ekonomia. Wtedy mówienie, że w sklepach jest pusto, gdyż ludzie mają za dużo pieniędzy, a ceny są zamrożone, wywoływało agresję. Na spotkaniu w gdańskiej stoczni Ster „skopano” mnie za takie tłumaczenia. „Nie dosyć, że sklepy są puste, to jeszcze chcecie ceny podnosić?” Taka była argumentacja. Dziesięć lat później podobnie było z planem Balcerowicza, który też był „niesprzedawalny”. Narzekano wtedy na politykę informacyjną. Ja twierdzę, że tego nie dało się „sprzedać” opinii publicznej.

Do liderów związkowych w 1980 r. musiało jednak dochodzić, że rewindykacja nie jest obojętna dla gospodarki.

Dochodziło, przynajmniej do części. Ale byli pod ogromną presją bazy. Im wcześniej ze sklepów wymiatało towar, tym głośniejszy stawał się idący od dołu nakaz: „Coś z tym zróbcie. Tak dalej być nie może!”.

Z początku za receptę uznano kartki. Bo gdy dadzą kartki, to władza będzie musiała je pokryć. Racje były całkiem przyzwoite, a ludzie mówili, że głodowe. I oto w lipcu 1981 r. system się załamał. Wynegocjowane racje były

za wysokie, trzeba było je obniżyć. „Jak to, racje głodowe i obniżyć? ”. Napięcie w kraju błyskawicznie skoczyło, doszło do „marszów głodowych”.

„Coś z tym zróbcie!” - ale co, skoro nie było zgody ani na podwyżki cen, ani na blokady płac? Potrzebny był rodzaj planu Balcerowicza, ale gdyby władze związku z nim wyszły ruch by je zmiotł i poszedłby własną drogą. Odpowiedzią stało się więc, że skoro czerwony nie może, czy - jak mówiono - nie chce sytuacji naprawić, to musimy wziąć w swoje ręce gospodarkę, a - w ślad za nią - sprawy polityczne.

Miał Pan wtedy jeszcze złudzenia, że kryzys można powstrzymać na gruncie gospodarki socjalistycznej?

Doraźne załamanie tak, ale na długo przed Sierpniem wiedziałem, że gospodarka socjalistyczna , nawet zreformowana, jak na Węgrzech czy Jugosławii, nie dorówna kapitalistycznej. Rzecz w tym, że niewyobrażalna była możliwość jej przywrócenia. Skoro nie dawało się złapać prawą ręką za prawe ucho, kombinowano, jak złapać prawą ręką za lewe ucho. Koncepcja „Samorządnej Rzeczpospolitej” była właśnie chwytniem się prawą ręką za lewe ucho, protezą demokracji.

Czy to nie interpretacja dokonana z perspektywy lat? Nawet część zachodniej lewicy postrzegała w latach 80. tę koncepcję jako realną, nie pierwszą już w historii, i nie ostatnią, „trzecią drogę”.

Gdyby to była naturalna idea, a nie proteza ubrana w słowa przez intelektualistów, to odżyłaby z siłą w III RP. Nie odżyła, bo była produktem „myślenia paliatywnego - skoro ustrój musi trwać z jego wadami, to przynajmniej trochę go ulepszmy. Z takiego myślenia, a nie z ideologii wzięta się koncepcja „Samorządnej Rzeczpospolitej”. Z jednym zastrzeżeniem, dotyczącym przedsiębiorstwa samorządnego. To też była proteza, ale silnie zakorzeniona w poglądach społeczeństwa. Kwestionowało ono wszystkie elementy ówczesnego ustroju, ale nie społeczną własność środków produkcji. Ludzie chcieli, żeby był rynek i publiczne przedsiębiorstwa zarządzane przez załogi. I to przywiązanie daje o sobie znać do dziś.

A nie było tak, że pomysł na gospodarkę był odzwierciedleniem ówczesnych aspiracji społecznych - powszechnej chęci uczestnictwa w życiu publicznym, pędowi do demokratyzacji i tworzenia instytucji przedstawicielskich? Pamięta Pan koncepcję amerykańskiego socjologa Andrew Arato, który traktował „Solidarność” jako społeczeństwo obywatelskie? Przedsiębiorstwo, którym zarządza demokratycznie wybrana spośród robotników władza, idealnie wpasowywało się w oczekiwania mas.

Sądzę, że Arato się pomylił. Trzeba odróżnić społeczeństwo codzienne, od społeczeństwa pobudzonego wielkimi wydarzeniami. Inaczej popełnimy błąd uogólniania wniosków z chwilowych okresów, jakim był rewolucyjny czas „Solidarności”. Wtedy nie objawiła się prawda o społeczeństwie codziennym. To był czas walki, w którym dużą rolę odgrywały wartości i nastroje uroczyste. Społeczeństwo prezentowało się ładniej, niż wygląda na co dzień. Ale, gdy

okres rewolucyjny przez trwanie zaczął nabierać cech normalności, zaczęły też wychodzić cechy społeczeństwa „codziennego”, mniej ładne.

Przedsiębiorstwo samorządne długo nie było w „Solidarności” obiektem pożądania. Pracowników miał bronić Związek Zawodowy, uważany początkowo za wszechmogący. I był w stanie bronić przed dyrekcją i policją, ale nie przed prawami ekonomicznymi. Powiedziano więc: „Bierzemy sprawy we własne ręce. Ale nie dlatego, że mamy piękną potrzebę uczestniczenia, lecz, że boimy się, co będzie zimą: głodu, zimna, braku światła”. Ideę samorządową wciągnął na sztandary „Solidarności” strach.

Skąd przekonanie, że robotnicy lepiej od partii będą kierować przedsiębiorstwem?

No, bo ludzie czuli na skórze, że partia rządzi do d... i uważali, że potrafią to lepiej.

Spółecznie zarządzane przedsiębiorstwa trudno jednak byłoby zreformować. Przecież po 1989 r., gdy zaczęto prywatyzację, utyskiwano, słusznie bądź nie, na „trójkąt bermudzki” - odporne na zmiany sojusze nomenklaturowych dyrektorów, organizacji związkowych i rad pracowniczych. Gdybyśmy zamiast tamtych rad pracowniczych mieli autentyczny, umocowany autorytetem wielkiej „Solidarności” samorząd pracowniczy, każdą prywatyzację trzeba byłoby zębami wyrywać załogom.

Gdyby przedsiębiorstwa samorządowe powstały, a - założymy hipotetycznie - straciła władzę PZPR nas rzecz „Solidarności”, to nowa władza stanęłaby wobec pustych półek i rozwalonego rynku. Sądzę, że poszłaby drogą podobną, co później rząd Mazowieckiego. A potem narastałaby potrzeba prywatyzacji przedsiębiorstw. Może nie szłoby to tak szybko, jak w 1989 r., ale myślę, że ewolucja postępowałaby w stronę klasycznego rynku, a nie nieznanymi, nowych form gospodarczych.

I obyłoby się bez tak drastycznej społecznie operacji, jaką był plan Balcerowicza?

Nie sądę. Już wtedy trwała w Polsce bardzo wysoka inflacja wyrażająca się nie ruchem cen, lecz pustoszejącymi sklepami. Musiałaby być zlikwidowana przez uwolnienie cen i zablokowanie dochodów, czyli metodą drastyczną. I Jaruzelski to zrobił zaraz po 13 grudnia, lecz nie zrobił wiele więcej. Po ośmiu latach inflacja była podobna, lecz już w postaci wzrostu cen. Musiała być powstrzymana. Może Balcerowicz przesolił, ale gdyby nie dosolił, byłoby gorzej.

Za pomyłkę uważam narzekania, że z powodu błędów po roku 1989 nie przetrwały wartości, które objawiło społeczeństwo w latach 1980-81. To dotyczy na przykład artykułu Jacka Żakowskiego „Coś w nas pękło, coś się skończyło”, opublikowanego w „Gazecie” w połowie lat 90. Raczej coś powróciło. Powróciła codzienność. Ludzie jej pragnęli już w roku 1981. Mały opór po wprowadzeniu stanu wojennego to było nie tylko zaskoczenie, ale i

zmęczenie, na przemian burzą i świętem. Tamte 16 miesięcy wiele razy stawiało ludzi w sytuacji zbiorowego zawału serca. Pragnienie wolności i pozbycia się komuny zaczęło być tłumione przez instynkt samozachowawczy, potrzebę uspokojenia. I dzięki temu pięć stanu wojennego nie uderzyła tak mocno, jak mogła, bo ruszając do starcia ekipa generała Jaruzelskiego nie mogła się cofnąć.

Kiedy Pan to dostrzegł? Już w stanie wojennym?

Nie uważałem, że po 13 grudnia nastanie noc. Wiedziałem, że nie da się Sierpnia wyrwać z korzeniami. I nie bez znaczenia było to, że stan wojenny wprowadziła ekipa Jaruzelskiego. Istniały w PZPR siły dążące do krwawej rozprawy z ruchem solidarnościowym. Jaruzelskiego nie uważałem za beton, lecz za człowieka skomplikowanego i wielowymiarowego.

W internowaniu najpierw czułem żal za Panną „S”, mimo, że u progu stanu wojennego uczestnictwo w ruchu zaczęło mnie uwierać. Jestem państwowcem, a nie związkowcem, i widziałem, jak ruch państwo rozchwiewa, a innego być nie może. Na dodatek nie można było ostrzegać przed tym otwarciem. W „Tygodniku Solidarność” byłem publicystą walczącym na rzecz ruchu, ale coraz bardziej brakowało mi dużej gazety niezależnej, w której można byłoby mówić mu więcej prawdy o nim samym.

Zmęczenie i przekonanie, że nie wróci sytuacja z przed Sierpnia, że powstanie nowa mutacja ustrojowa, pomogło mi „strawić 13 grudnia”.

I że władza okaże się zdolna do reform?

Sądziłem, że powstanie mutacja, której głównym członem nie będzie partia, że system straci wiele cech totalitarnych. Oczekiwałem też, że korzystając z pozycji siły Jaruzelski wprowadzi reformy gospodarcze. Tu się pomyliłem.

Jakieś tam reformy próbowano wprowadzać, odwołując się nawet do referendum...

Ale można było zrobić więcej; w stylu węgierskim. Wówczas Polska spotkałaby rok 1989 w lepszej kondycji gospodarczej. Może nie trzeba byłoby tak drastycznego programu, jak plan Balcerowicza?

W każdym razie oczekiwałem, że ten potrzaskany system stanie się mniej totalitarny. Faktycznie, im bardziej socjalizm reformowano, tym bardziej był potrzaskany i tym samym bardziej ludzki. Aż z potrzaskania rozsypał się prawie bez bólu. Oburzają mnie głosy, że to, co złe w dzisiejszej Polsce, wynika z braku *katharsis*, z płynnego, a nie dramatycznego zaistnienia III Rzeczypospolitej. Dramatyczne zaistnienia to nowe krzywdy. To, że system zniknął niemal bezboleśnie, to błogostawieństwo, jedyna przystuga komunizmu dla ludzkości!

Pana pragmatyzm kłóci mi się trochę z fragmentem Pana dzienników z lat 1980-81, wydanych niedawno w tomie „Burza nad Wisłą”. Kpi tam Pan z konsumpcyjnego Zachodu, który „boi się o własną kieszeń i żołądek” i obawia się, że zwiększając wydatki na zbrojenia „nie kupi się nowej marki samochodu co dwa lata, a co dwa i pół”. Tak, jakby nie miał Pan świadomości, że urynkowanie gospodarki prowadzi przy okazji do urynkowania społeczeństwa.

To nie jest cała prawda. Rynek jest też w Ameryce, ale ona nie jest lękliwa. Myśmy byli w stanie wojny z dyktaturą, poddani psychologii tej wojny. To musiało wyrazić się w moim dzienniku. Ludziom żyjącym pod czerwonym butem Europa była potrzebna, jako wsparcie. Wszystkie przejawy jej tchórzostwa wobec Ruskich wkurzały nas niemożebnie. Gdy parę lat później zachodnie ruchy pacyfistyczne grzmiąły przeciwko rozmieszczeniu Pershingów w Europie Zachodniej, krzycząc, że „lepiej być czerwonym, niż martwym”, odbieraliśmy to jako zdradę naszej sprawy.

Bo sprawa trwała, ale muszę powiedzieć, że nie wierzyłem w powrót „Solidarności”...

„Solidarność” w ogóle, czy takiej, jak w latach 1980-81?

- Takiej jak w 1981 r. Spierałem się o to z Mazowieckim w połowie lat 80, gdy przybył do Paryża. Mówił, że „Solidarność” wróci. Ja, że zatonęła jako Titanic, a jeśli wróci, to jako barka rzeczna. I chyba tak się stało. Może byłoby lepiej dla pamięci narodowej, gdyby reaktywowany związek, zabierając w 1990 r. swój znaczek „Gazecie Wyborczej”, samemu też przekazał go do panteonu pamięci narodowej.

Może i lepiej... Ale gdy rozmawiam z obecnymi działaczami „Solidarności”, z których wielu zapisało się jeszcze w 1980 r., doskonale rozumiem ich emocjonalne podejście do tego szyldu. Może nie są to działacze takiego kalibru, jak przed laty, ale mają subiektywne prawo do poczucia ciągłości tradycji. Wielu miało możliwości odejścia w politykę albo biznes, a zostali jednak w związku.

Ja też patrzę na ten szyld przez zachwyty i miłość, z jakimi przyjęliśmy go, gdy pojawił się w Stoczni Gdańskiej. Szkoda, że przez awantury rozpadu został jakoś pomniejszony. My, ludzie związani z Tadeuszem Mazowieckim, mamy też trochę winy. Błędem było, że w końcu 1989 r. nasz szef nie pojechał do Wałęsy, żeby mu powiedzieć: „Panie Lechu, ustalmy, w którym momencie obejmie pan pałeczkę po Jaruzelskim”.

Wystarczyłoby to, by zapobiec „wojnie na górze”?

- Konflikty by się pojawiły, bo taki jest charakter Wałęsy. Ale, choć nie nadawał się na prezydenta, musiał nim zostać. I lepiej byłoby, gdyby nim został w zgodzie, decyzją Zgromadzenia Narodowego. Mam o to do siebie pretensje, bo choć nigdy nie namawiałem Mazowieckiego do dystansowania się od Wałęsy, to - gdy „wojna na górze” już się zaczęła - byłem za tym, żeby wystartował na prezydenta.

Największym zaś dramatem 1989 r. było to, co stało się z robotnikami - główną siłą uderzeniową, która kruszyła system komunistyczny. Bardzo wielu z nich stało się ofiarami tego zwycięstwa.

Właśnie dlatego tyle dziś wątpliwości, czy aby na pewno wprowadzając kapitalizm w 1989 r., nie sprzeniewierzono się ideałom 1980 r.?

- Przykro to mówić, ale robotnicy, bez względu na to, jak potoczyłyby się wydarzenia, i tak zapłaciliby cenę za upadek komunizmu. Przejście do gospodarki rynkowej musiało spowodować gruntowną przebudowę tkanki przemysłowej. Wynikający z tego kryzys był powszechny we wszystkich krajach przechodzących transformację. W Polsce był najślabszy i najkrótszy, ale był, i nie z powodu błędów, lecz przez zderzenie gospodarki, która przez 45 lat obywatela się bez rynku, z rynkiem, który nagle powrócił.

W 1989 r., już po objęciu teki premiera, zdarzało się jednak Mazowieckiemu wspominać o „społecznej gospodarce rynkowej”.

- Mazowiecki jest lewicowym chrześcijańskim demokratą. Zaakceptował program Balcerowicza z bólem serca. Ale przekonał się, że nie ma lepszej drogi, niż ta, która szła pod prąd jego wrażliwości. Mazowiecki chciał gospodarki nacechowanej silną osłoną socjalną. I trzeba powiedzieć, że jego rząd zastosował silne instrumenty osłony; szczególnie bezrobotnych oraz emerytów i rencistów. To nieprawda, że przyjęto wtedy skrajnie liberalną ideologię. Lecz choćbyśmy nie wiem jak chronili robotników, i tak na wiele by się to nie zdało. Wielu ich fabryk, które w komunizmie były trzonem gospodarki, w nowych warunkach nie dało się utrzymać.

Wiedział Pan to obejmując w 1989 r. tekę ministra przekształceń własnościowych?

- Wiedziałem. I nawet sądziłem, że kryzys potrwa dłużej, niż do 1992 r. Robotnicy przeżyli dramat, ale to nie była niczyja wina, ani zdrada. Gdybyśmy nie odeszli od ustaleń Okrągłego Stołu, Polska straciłaby sporo czasu na błądzenie po manowcach. Ale wcześniej, czy później doszłoby do jakiejś formy planu Balcerowicza, do prywatyzacji i niestety także do bezrobocia. To największa plaga rynku, co nie zmienia faktu, że niczego lepszego niż on ludzkość nie wynalazła.

A więc wszystko potoczyło się tak, jak miało się potoczyć? Może i tak, bo teraz znów mamy kryzys, a znaczące ruchy społeczne jakoś nie powstają.

Nie, nie tak, jak się miało potoczyć. Drogi były różne, ale kierunek ten sam. Nie wiem czy wybraliśmy najlepszą, ale na pewno nie wybraliśmy złej. A gdy chodzi o dziś - to widać kryzys mamy za mały na wielki ruch. Uważam, że to słowo jest nadużywane. W gospodarce nie ma kryzysu, lecz spowolnienie, które chyba mija. Jest u nas wiele złego, ale jedyne wielkie nieszczęście to bezrobocie. Ono w połowie wynika z dziedzictwa PRL i błędów transformacji, a w połowie z naszej - przez lata - wyjątkowej w Europie płodności. Mam nadzieję, że będzie spadać, i wtedy wszystko zacznie w Polsce wyglądać ładniej.

Wielkim ruchom nie sprzyjają też rynek i demokracja, bo nie ma jednego „Złego”, jakim była PZPR, wszystkiemu winna i wszystko mogąca zmienić, byle ją docisnąć. Jeśli dziś w solidarności z nierentownymi kopalniami zastrajkuje reszta kopalń, to ugodzą we własne miejsca pracy. Oczywiście są i w demokracji wielkie ruchy, ale wtedy zwykle upada rząd, odbywają się wybory, i para uchodzi.

Powiem też rzecz niepopularną, ale prawdziwą, Polacy żyją dziś o wiele lepiej niż w 1980 czy 89 roku. Oczywiście nie każdy, ale ogromna większość, nawet, jeśli sądzą inaczej. Pamięć zawodzi i często „przypomina” to, co chcemy. Przeżyliśmy w latach 1993 - 1999 okres takiego konsumowania,

jakiego nie było nawet za Gierka. Ale oczywiście narodowe i intelektualne „czarnowidztwo” tej strony nie widzi, nie chce jej widzieć, bo w Polsce musi być tylko źle i jeszcze gorzej. Nie jesteśmy czarną dziurą, mamy swoje problemy, nie małe i sukcesy, też nie małe i swoje przeciętności, na przykład, gdy chodzi o korupcję.

Nie brakuje Panu jednak większego zaangażowania ludzi we współtworzenie sfery publicznej, wyższej frekwencji w wyborach, rządzenia państwem w oparciu o realną umowę społeczną?

Brakuje mi, wolalbym, żeby nasza „obywatelskość” była wyższej marki. Ale ona nigdy taka nie była.

.W 1989 roku 40 % ludzi zignorowało najbardziej wolne wybory od 1939 roku. To jeden z naszych dużych problemów, także wybieranie do Sejmu ściganych przez prawo. Ale w skupieniu się ludzi na sprawach swoich i swoich rodzin, na zarabianiu pieniędzy, na dorabianiu się, widzę wielki pozytyw. Tą drogą narody się bogaciły. Przez kilka stuleci wisiła nad nami troska o los nieszczęśliwej Ojczyzny, daj Panie Boże ludziom kilkadziesiąt lat dla troski o ich prywatne sprawy i byt. Oczywiście to ma też złą stronę; wyposzczone przez lata społeczeństwo i jego elity zderzyły się z powabem cywilizacji konsumpcyjnej, dostępnym za forszę. W tym zderzeniu osłabły normy i etosy, potamało się wiele kręgosłupów, także twardych. To, a nie brak rozliczeń czy katharsis, jest główną przyczyną plag, o których się dziś mówi. I na koniec: aktywność społeczna nie jest dobrem absolutnym. Jeśli społeczeństwo staje

się nadaktywne, to sygnał, że doskwiera mu choroba, gorączka. Taką była aktywność lat 1980 -1981, gdy chorobą był komunizm. Sierpień to była walka społeczeństwa z chorobą. Oby podobnej aktywności w Polsce już nie było.

rozmawiał Rafał Kalukin

("Gazeta Wyborcza" - 1.09.2003 r.)